№ 88. Warszawa, dnia 20 Października / 1 Listopada 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.
Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

Studyum Literackie.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 87*)

Wstęp ten wielce charakterystyczny dla zrozumienia téj książki, a po części i społeczności francuzkiéj i wieku, przerywa autor dziwną apostrofą do Getego i Bajrona;... „wyście półbogami, ja tylko cierpiącém dzieckiem, ale pisząc to nie mogę się powstrzymać od przekleństwa;—bo dla czego nie śpiewaliście o zapachu kwiatów, miłości i nadziei, lazurze nieba i piękności? Zapewne cierpieliście, i świat zapadał się na około was, i płakaliście nad ruinami, i rozpaczaliście; i kochanki was zdradziły, i przyjaciele spotwarzyli, i współziomkowie nieuznali—i mieliście próżnię w sercach, i byliście kolosami boleści. Ale czyż ty szlachetny Gete, który jesteś panteistą i starożytnym poetą Grecyi, nie mogłeś znaleźć uśmiechu?... a Ty Bajronie,... niemiałżeś w pobliżu drogiego Adryatyku, ukochanéj? O Boże, ja który jestem słabém tylko dziecięciem, znosiłem może męki którycheś Ty nie cierpiał, a przecież wierzę w nadzieję; a przecież modlę się do Boga."!

Nam się zdaje, że i Mussetowi możnaby powiedzieć: „Cierpiałeś, to prawda—byłeś zdradzony albo niekochany wtedy, gdy serce Twoje otwarło się poraz pierwszy z najwyższą ufnością, ale byłeś wielkim poetą, utwory Twe czytał cały kraj Twój i Europa; mogłeś pieśnią wiary rozegrzać serc tyle, pieśnią nadziei podnieść moralnie tylu upadłych i bezwiednych a przecież tak jak Bajron, mniéj tylko egoistycznie, ukazywałeś wszędzie i zawsze swoje *Ja*, kładąc je co prawda mimowoli za wzór,—bohaterem w tych dziełach byłeś zawsze Ty sam ze swoim wiecznie gorzkim uśmiechem, z Twojém ognistém bluźnierstwem, z Twoją rozpustą, nęcącą plastycznemi kształty!.. Cierpiałeś to prawda, i nasz Słowacki cierpiał stokroć więcéj, a przecież w jego dziełach nie znajdziesz nagich draperyi, lubieżnych zaklęć, ubóstwień poetycznego pozornie materyalizmu;—czasem tylko jęk zwątpienia, płacz rozpaczy za straconém szczęściem. Mogłeś pociągnąć młodzież w czystą krainę ducha, Ty który byłeś jéj ulubionym poetą, a pociągnąłeś ją tylko do zguby. Zaiste, byłoby trudno Ci przebaczyć, gdyby nie to, żeś Ty pierwszy padł ofiarą, ale dla tego Słowackiemu wierzymy, że się modlił do Boga.. Ty zaś chyba w chwilowym tylko nastroju, w chwilowém podnieceniu artystyczném, wznosisz akt pokory do Pana Zastępów. (L'espoir en Dieu.)

Nastąpiło odtąd zaprzeczenie—powiada daléj autor—nieba i ziemi, i tak jak niegdyś żołnierz gdy się go pytano „w co wierzysz" odpowiadał „w siebie," tak teraz młodzież francuzka zapytana o to samo, odpowiada „w nic." Ztąd wytworzyły się dwa obozy: z jednéj strony egzaltowani, cierpiący, potrzebujący nieskończoności, ci zwiesili głowy płacząc, oblekli się w *marzenia chorobliwe*; z drugiéj: ludzie cieleśni, nieugięci w pośród rozkoszy pozytywnych, nie mający innéj troski prócz liczenia pieniędzy. Jedno łkanie i jeden wybuch śmiechu, jeden pochodzący z duszy, drugi z ciała. Dusza mówiła: „Niestety! religia zniknęła, straciliśmy nadzieję. Ciało zaś: „Człowiek jest tu na to, żeby się posługiwał swemi zmysłami... Jeść, pić i spać, to się nazywa życiem. ...Miłość jest gimnastyką ciała, a jedynem użyciem intellektualném jest próżność." Na podobieństwo azyatyckiéj zarazy — straszliwe, rozpaczliwe zwątpienie rozpostarło się na ziemi. Dojrzali wątpili o wszystkiém—młodzieńcy zaprzeczali wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz, młodzieńcy wychodzili ze szkół z czołem pogodném, z twarzą rumianą, a z *bluźnierstwem* na ustach. A wreszcie charakter francuzki, otwarty i wesoły, łatwo się przejął ideami niemieckiemi i angielskiemi, ale serce zanadto lekkie, ażeby walczyć i cierpieć, zwiędło jak kwiat uszczknięty. Ztąd nieczułość i bezwrażliwość, ztąd wreszcie *afektacya* rozpaczy. Szydzić ze sławy z religii, z miłości, ze wszystkiego na świecie, sprawia wielką ulgę tym, którzy nie wiedzą co począć ze sobą... a potém jestto słodko, uważać się za nieszczęśliwego, gdy w rzeczywistości jest się tylko pustym i znudzonym. Rozpusta nadto, jako pierwsze następstwo zasad nicości, staje się potężnym bodźcem zdenerwowania. W ten sposób bogaci mówią: „Prawdą jest tylko bogactwo, reszta czczém marzeniem, używajmy i umierajmy." Mniéj bogaci: „prawdą jest tylko zapomnienie, zapomnijmy więc i umrzyjmy." A ubodzy: „prawdą jest tylko nieszczęście—przeklinajmy więc i umrzyjmy." A daléj co sprawili ci, co osłabili Chrystyanizm?

Wszakże widzieli, że ubogi dał się uciemiężać bo myślał, że gdy bogaty i potężny wejść będzie chciał do królestwa niebieskiego, i ja tam będę i zaskarżę go przed trybunałem Boga. Więc dla tego miał cierpliwość. Antagoniści Chrystusa rzekli mu jednak: czekasz życia wiecznego ażeby otrzymać sprawiedliwość?—nie ma życia wiecznego, chcesz jęk twój i łkanie twoje i dzieci twoje zanieść przed stopy Boga?—nie ma Boga. Więc ubogi otarł łzy i obrócił się wściekły do bogacza, mówiąc: „i tyś taki jak ja człowiek," do kapłana; „ty coś mnie pocieszał, kłamałeś!" A tego właśnie chcieli nieprzyjaciele Chrystusa..

„Cała choroba obecnego wieku pochodzi z dwóch

przyczyn. Oto lud który przeżył rok 1789 i 1814, nosi w sercu dwie rany. To co było, już nie istnieje,—a tego co się ma stać, jeszcze nie ma. Nie szukać gdzie indziej przyczyny naszych bolów. Przypomina się tu człowiek którego dom dawny zburzony, nowy jeszcze nie zbudowany; nie wie on jak się ochronić od deszczu, gdzie przenocować, odpocząć, gdzie umrzeć."

Od czasu téj wieszczby poety, t. j. od r. 1836 upłynęło już lat przeszło trzydzieści. Gdyby był dożył dzisiejszéj pory, możeby jeszcze daléj posunął przyszłość, któréj się dla ludów spodziewa... O ludy wieków przyszłych! — woła — gdy przyjdzie czas że będziecie zbierać, pomyślcie o nas... przyznajcie, żeśmy drogo okupili wasz spokój... żałujcie nas więcéj aniżeli naszych ojców... bo straciliśmy nawet to, co im niosło pociechę."

Wstęp ten historyczno-psychiczny, jest może za szerokiém tłem do następnych przygód „dziecięcia wieku," zanadto zindywidualizowanych, zanadto—rzec można—wyjątkowych.

Bohater łamie się najprzód przez niewierność pierwszéj kochanki, pospolitéj kobiety, jednéj z tysiąca,—a potém przez własne winy, przez własną podejrzliwość, nieufność, zwątpienie we wszelki porządek moralny, we wszelką zasadę moralną. Zwątpienie także ogarnia po życiu rozpusty, użycia, wyczerpującego zdrową władzę duszy... Bohater jest właśnie takim sceptykiem, podejrzywającym w chwili najwyższego uniesienia miłości, rozpaczającym lub szyderczym wtedy, gdy powinien być szczęśliwym; rozpłakanym i mdlejącym wtedy, gdy powinien być uspokojonym i z pogodą patrzącym w przyszłość. Chorobę któréj autor nie oznacza, nazwalibyśmy chorobą *nerwów*, ową nieokreśloną a przecież widoczną duchową a od ciała zależną chorobą, któréj siedliska niewiedzieć gdzie szukać: w intelligencyi, czy w uczuciu.

Posłuchajmy: Oktawiusz młodzieniec 19-letni kocha naiwnie, z owém najwyższém zaufaniem pierwszéj młodości. Raz podczas wieczerzy, w chwili gdy o niéj marzył i w oczy jéj patrzał, schyla się aby podnieść spadły widelec i widzi... nogę swéj kochanki, opierającą się na nodze najlepszego swego przyjaciela. „Stałem się nagle idyotą przez niewierność téj kobiety, któréj dotąd nigdy nie podejrzywałem..." Przyjaciela wyzywa na pojedynek „przypatrując mu się jak potworowi, ażeby zauważyć jak wygląda." Nie to go bolało, że go kochanka przestała kochać, ale że „go zdradziła." „Nierozumiałem bowiem, powiada—dla czego kobieta nie będąc zmuszona niczém, okłamuje mężczyznę gdy już kocha drugiego... jeżeli mnie nie kochała, dla czego nie wyznała otwarcie, dla czego mnie *oszukała*? Odtąd przechodzi rodzaj delirium, ze wszystkiemi okropnemi przejściami. „Chciałbym nienawidzieć tę kobietę—daremnie, krążyła ona w krwi żył moich,—przeklinałem ją ale marzyłem o niéj... żyłem jedynie przez tę kobietę, *zwątpić o niéj znaczyło to samo co zwątpić o wszystkiém*, ...świat zaczął mi się wydawać zamieszkany przez potwory i dzikie zwierzęta... Często nie mogłem jasno rozróżnić co się działo w méj głowie. Raz zdawało mi się, że to sen straszliwy, i że potrzebuję oczy zamknąć ażeby się obudzić szczęśliwym, to znowu życie całe, wydało mi się zmiennném i fałszywém..." Przyjaciel Oktawiusza, epikurejczyk i jeden z tych sceptyków, który widząc i znając złe, nie kusi się jednak na reformę, i nie przeklina powiada mu między innemi: „Doprowadza cię w téj chwili do rozpaczy, głównie myśl *doskonałości*, jaką sobie wyrobiłeś o swojéj kochance, a która cię tak zawiodła..." ..a potém daléj po długich wywodach, kończy: „jeżeli jesteś egzaltowany powiem ci krótko: że miłości nie ma, bo... miłość jestto wiara, jestto religia ziemskiego życia... bo kochać, to znaczy mieć u boku towarzyszkę któraby zrozumiała, dla czego czasem kwiat, myśl, słówko, wprawiają nas w zachwyt." Konkluduje w ten sposób: „a czyż kobiety kochać umieją?"

Oktawiusz usiłuje się uleczyć. Najprzód porzuca wszelkie towarzystwo, uważając je za zbiorowisko występków i obłudy—i zaczyna się uczyć. Ale daremnie; samotność popychała go na łono natury, a natura przypominała mu miłość. Potém zaczął się leczyć... winem, miłostką jedną i drugą, orgią czasem rozpustną — nadaremnie! W sercu czuł zawsze pustkę i obrzydzenie, a do świata wstręt coraz większy. Czyn był u niego zawsze sprzeczny z wewnętrzném usposobieniem, bo było w nim dwóch ludzi: jeden który się śmiał, drugi który płakał.

Autor poświęca tym miłostkom bohatera, kilkadziesiąt stronnic. Jestto subtelna, czasem porywająca świetną plastyką analiza... rozpusty,—cynizm przebija się nawet w saméj naiwności opisu, cynizm z przekonania, stokroć gorszy od wszystkich innych;—a jednak czytając te karty, cierpi się wraz z bohaterem, bo żal i litość bierze nad człowiekiem, który namiętność przygasić chce szałem zmysłów.

Może do wywołania téj litości pomaga jędrność opisu, nieubłagana prawda w szczegółach, świadcząca o głębokim darze spostrzegawczym dwudziesto sześcio-letniego naówczas autora.

Udręczeniom Oktawiusza kładzie chwilową tamę odebrany list, donoszący mu o ataku apoplektycznym ukochanego ojca. Oktawiusz pędzi na wieś. Tu się kończy część I historyi bohatera.

Zastał już tylko trupa. Odnalazł dziennik ojca, z którego poznaje że był to człowiek prawy, czystéj duszy—i pięknych choć skromnych czynów. Woła też syn w uniesieniu: „Nietknięty śnieg na szczytach gór, nie jest czystszym od Twéj świętéj starości..." Przypomina się w tém miejscu wprost przeciwny testament starego p. de Camors, lecz gdy tamten podyktował prawie życie przyszłe synowi, dziennik ten wywołał tylko u Oktawiusza chwilowe uniesienie; podziałał na jego nerwy, i—zniknął bez śladu tak jak wszystko w téj duszy, zawianéj mętnemi burzami i nieustannym szałem.

W sąsiedztwie mieszka młoda, piękna wdowa ze starą ciotką, pani Pierrson... poznaje ją w sposób romantyczny ale pełen nie udanego wdzięku. Z jéj wielkich oczu czarnych poznał, jak również i z kilku słów i spojrzeń, że „cierpiała i że przez te oczy przemknęło już życie." Pani Pierson opierała się gwałtownéj i namiętnéj miłości Oktawiusza długo... zacięcie, aż... uległa; a poeta wydaje okrzyk pogańsko-namiętny: „...Aniele wieczny szczęśliwych nocy, kto opowie twoje milczenie?... Szale zmysłów, o rozkoszy, tak, ty jesteś jak Bóg nieśmiertelną!... Rozkoszy po trzykroć święta, wzniosły porywie stworzenia,—nazwano cię przemijającą?!... Wyrzec to mogło tylko zwierzę zmysłowe, zdziwione że godzinę żyło, biorące światłość lampy wiecznéj za iskrę, wydobytą z krzemienia!..." Następuje opowieść zmian téj miłości, na co autor innego nie daje usprawiedliwienia jak tylko to: „Powiem prawdę."

(*d. n.*)

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 87*).

VI

— Widziałem ją, rzekł sucho.

— A cóż?

— A! bardzo ładna panna... ale — z góry na świat patrzy...

— Na świat, bardzo dobrze—byle nie na ciebie... mówiła matrona. Panna Hanna pochodzi z pięknéj familii, a po babce starościnie i ojcu weźmie kilka milionów...

— Jeśli się ojciec nie ożeni—dodał Herman.

— Ale cóż znowu? *il n'est plus jeune.*

— A jemu zdaje się, że nie stary...

— Sam macierzysty majątek ogromny i panienkę bardzo chwalą.

Herman zamilkł.

— Proszę cię, miéj to na uwadze...

Nadchodzący pan Paprzyca, obywatel wiejski, człowiek wielce poważny, przerwał rozmowę. Panna Złocińska, widząc się niekoniecznie potrzebną przy kanapie, wyśliznęła się ku oknom, gdzie wkrótce potém Herman poszedł jéj coś szepnąć.

Paprzyca młody jeszcze... przystojny mężczyzna, siadł zaraz przy hrabinie, która się nieco przysunęła do niego... Wiedziała z reputacyi że to był człowiek którego posłuchać warto... Dla całéj okolicy stanowił on wyrocznię, słynął z rozumu, drudzy mówili z przebiegłości. Sama twarz niewiele była obiecująca, ale chłodny rozsądek i zimną rachubę dobrze z niéj widać było. Cechą główną charakteru i przekonań szanownego Parzycy było rachowanie się z rzeczywistością—w marzenia i sentymentalizmy nie wdawał się żadne, szedł drogą jaką mu okoliczności wyznaczały, posłuszny, porządny, regularny spokojny, nienawidził opozycyi—kłaniał się sile... zresztą jako żołnierz należący do chorągwi i obozu, tam kroczył gdzie chorągiew niesiono, niepytając żadnych własnych przekonań. Nieprzyjaciel liberalizmu i demokracyi — występował przeciw nim otwarcie... Dla służących pod swoją chorągwią był wyrozumiały aż do pobłażliwości, dla przeciwników nieubłagany i zajadły.

Rozmowa z Paprzycą nie mogła się zawiązać o czém inném, tylko albo o Włoszech, bo ztamtąd powracał, lub o interesach pieniężnych... bankowych i fabrycznych—hrabina więc zagadnęła o wrażenia z podróży, i byłaby się ciekawych dowiedziała rzeczy, gdyby nie nadszedł pan Lubicz...

Lubicz jeszcze bardziéj przypadał do smaku hrabinie, niż sztywny i imponujący Paprzyca. Był to wprawdzie bardzo ubogi chłopak, którego nawet pochodzenie szlacheckie mimo nazwiska herbownego, ulegało pewnym wątpliwościom... ale wyglądał świeżo, prawie przystojny, był wesół, zabawny, i okazywał dla pani domu szczególne uwielbienie... Wiedziała, iż Lubicz oprócz stosunków znakomitych, nie miał nic, że potrzebował małżeństwem wnijść do społeczności, do któréj się wcisnął pochlebstwem i uniżo-

nością a chętnemi służby... mogła więc pomyśleć sobie, że gotów się był—nawet ożenić.

Lubicza przyjmowano w najpierwszych salonach na mocy głoszonych przezeń zasad zachowawczych, niezmiernéj jego religijności aż do fanatyzmu posuniętéj i bezwzględnego zaprzedania się w poddaństwo stronnictwa, o którego protekcyę się ubiegał.

Z ubogiego chłopca, podejrzanego szlachectwa, z pomocą kilku śmiałych wystąpień i łatwéj szermierki językowéj, w któréj sensu wiele nie było, ale blagi podostatkiem, Lubicz dostał się do salonów arystokratycznych, i uważany był za obrońcę prawdy, na którego można już było rachować. Popierano go silnie i obiecywano mu wiele, nie zważając na to, że życie jego prywatne wiele zostawiało do życzenia. Lubicz był namiętnym graczem, pokątnym wielbicielem płci pięknéj, do hulanki stawał chętnie, gotów był weksel sfałszować, ale nazajutz szedł na summę i widziano go w pierwszéj ławce na nieszporach... W potrzebie podpisałby artykuł do gazety choćby najbrzydszy. W towarzystwie był to człek przyjemny, z ogromną przytomnością umysłu, z heroiczną blagą i kłamstwem tak łatwém i zręczném, jakby go nic a nic nie kosztowało.

Nikt tendencyjnych potwarzy na przeciwników nie roznosił zręczniéj, nie rozsypywał na dobre grunta gdzie najlepiéj rosnąć mogły... nie zaostrzał i nie zatruwał z większym kunsztem nad niego... Starzy wodzowie ściskali go ze łzami jak ukochaną dziecinę wielkich nadziei...

Lubicz nie był bardzo ładny, ale spryt nadawał jego fizyonomii pewien wyraz, który się mógł podobać. Ubierał się starannie i perfumował umiejętnie, tak, że nie można było powiedzieć nigdy czém śmierdział. *Au moral et au physique*—zażywał tego środka. Czarne oczy gospodyni ze szczególną czułością zwróciły się ku niemu; wskazała mu miejsce blizko przy sobie. Lubicz z uśmiechem wdzięcznym i nadskakiwaniem bijącém w oczy przysiadł się do jejmości.

— Patrz-no panie Hermanie, szepnęła Złocińska do niego: jak Lubicz hrabinę bałamuci.

— Nie mam obawy, ziewnął syn—Lubicz lubi dobre obiady... to cały sekret...

— Ej! ej! dodała Złocińska—żeby nie pomyślał o czémś więcéj...

— Nie odparł Herman—mnie się będzie bał —jakby mnie nie było, nie ręczę...

Już zaczynali inni goście przybywać, wszedł znajomy nam już Dołęga, śmiejąc się od progu i klepiąc poufale po ramionach kogo spotkał, potém prezes milczący... powitany z uszanowaniem, prałat i doktór razem, na ostatek panowie Kuczaba i Ostoja...

Dwaj ostatni zasługują aby im parę wierszy poświęcić, należą bowiem do typów epoki i kraju w którym liczną mają rodzinę, mniéj więcéj do siebie podobnych.

Pan Kuczaba nie stary człowiek, z dobréj i majętnéj rodziny pochodzący—acz liczył się do towarzystwa, kółka i obozu, który w salonie był reprezentowany, acz gardłował za jego zasadami, nie zupełnie tak był pewnym i nie zawsze tak gorliwym. W innych towarzystwach wdziewał przekonania mniéj wybitne i stawał na jakiéjś linii pośredniéj,—a czasem, mówiono że śmiał się przeciw niektórym osobistościom za daleko rzeczy posuwającym, odzywać. Lubił popularność i to go gubiło. Gdy szala opinii przechyliła się na stronę przeciwną, Kuczaba utrzymywał że właśnie te zawsze przekonania głosił które zwyciężały; gdy zwrot nowy nastąpił nikt krzykliwiéj nie twierdził nad niego że doń pomagał i dlań tylko pracował.

— Nigdy mnie ludzie nie rozumieją,—mówił gdy go obwiniano. Zdaje się, że on sam dobrze siebie nie rozumiał też nigdy. Wielka obawa zdepopularyzowania się pchała go ciągle z jednego miejsca na drugie... zawsze tak aby na pierwsze mógł wrócić. W stosunkach z ludźmi posłuszny był swojemu systemowi, ze wszystkiemi dobrze, nieźle, znośnie, tak żeby w przypadku mógł nagle stać się dla nich serdecznym. Wymowny, obfity w słowa, nie zawsze jasny, ale zawsze krzykliwy—słynął Kuczaba z téj łatwości prawienia i mało było posiedzeń, obiadów, zgromadzeń na którychby głosu nie zabierał.

Uśmiechnięty do wszystkich, przyjaciel każdego serdeczny, miał ten talent że od czynnego okazania swych uczuć zawsze się uwolnić potrafił.

Wejście jego do salonu szmerem przyjemnym dla jego serca powitane zostało.

Towarzysz jego Ostoja... był małym człowieczkiem zamaszystego kroju... Znać w nim było ową setną owieczkę nawróconą, która czas długi błąkała się po manowcach... W istocie Ostoja dawniéj do najczerwieńszych demokratów należał, liberalizm jego przechodził gwałtownością znane i praktykowane w Polsce, nie było spisku w którymby się nie wmieszał, kozy, w któréjby nie siedział—aż nareszcie przyszła godzina opamiętania, skruchy i Ostoja rzekł głośno:

— Już mi ta polakerya obrzydła! mam jéj póty. To do niczego nie prowadzi. Basta...

Przyszedł tedy z pokorą do ludzi dobrze myślących... Nie zaraz ani łatwo go przyjęto, wzięto na próbę i dopiero po pewnym przeciągu czasu otrzymał absolucyę zupełną. Ale też zasłużył na nią takiém zadośćuczynieniem, iż stał się chlubą tych z którymi wprzódy wojował. Jak dawniéj jaskrawo był czerwony, tak się teraz stał skrajnie białym i konserwatystą... A że wtajemniczony był niegdyś we wszystkie arkana demokracyi i wszystkich jéj bąków był czynnym uczestnikiem, miał pole do popisu, drwiąc z tego co wczoraj tak gorąco popierał.

Towarzystwo tak szczęśliwie z harmonijnych złożone żywiołów, wesoło rozpoczęło wieczór od gawędki o sprawach i bezprawiach wieku, o jego niegodziwościach i zepsuciu. Godzili się wszyscy na to, że nigdy jeszcze tak źle nie było na świecie i nigdy społeczeństwu nie zagrażały takie kataklizmy jak dzisiaj.

— A wszystko to—zawołał Lubicz, który perorować lubił—z tej fałszywéj i zgubnéj powstało zasady, że ludzkość ulega prawu postępu. Gdzież ten postęp? jaki? Stary porządek społeczny oparty na tradycyach, na bożém objawieniu, na wiekuistém doświadczeniu obalono, a nikt nowego zbudować nie umie. Negacya stworzyła ruinę i zniszczenie tylko, niepokój w umysłach—chaos w pojęciach—ten miły stan, wśród którego żyć mamy niezrównane szczęście!

— Brawo! brawo! poklasnął Paprzyca; złotemi literami drukowaćby to należało na pożytek powszechny. Nikt zdrowiéj nie pojmuje zadania nad pana — postęp i fałszywa jego idea przyczyną wszystkiego złego... Dla postępu tego zaczęto szukać formuł nowych, mędrkować, obalać, wyzwalać oświecać... stworzono ideał ludowy, massy odciągnięto od pracy... zasypano nas proletaryatami bez końca... żadnéj powagi... żadnego rządu, żadnéj władzy z góry, zdetronizowano nawet Boga, a posadzono na jego miejscu rozum ludzki, który od grana opium w szał się obraca...

U staréj szlachty polskiéj był zwyczaj pić wódkę przed obiadem; tu zaś w salonie hrabiny i innych tegoż wyznania rozpoczynano zawsze wieczorną biesiadę od podobnych drastycznych deklamacyj, któremi uspokoiwszy sumienie (zalawszy robaka), siadano potém do wista i do obmowy bliźniego. Temat to niewyczerpany, waryacye z niego bardzo łatwo udatne się tworzą... Paprzyca więc i Lubicz przy towarzyszeniu Kuczaby odegrali koncert na konserwatyzmie, a Lubicz go dokończył, następującym wykrzykiem:

— Oświecanie ludu w modzie! oświecanie! Nie są im w stanie dać więcéj oświaty nad to, żeby poznali iż są siłą i że społeczeństwo obalić mogą! Niedouczony mędrek łaknąć będzie wszystkiego, i rzuci się na wszystko! Oświecanie ludu chyba dla tego, by nim nikt rządzić potém nie mógł, i panowanie nieładu wprowadzić...

Był właśnie w tém miejscu perory, gdy nowy gość wszedł po cichu. *(d. c. n.)*

PRZYGODY I OBRAZKI ANATOLSKIE.

OPOWIEDZIAŁ

KARA AWDŻI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 87.*)

— Nastaw tedy pilnie uszy i słuchaj effendi. Razu jednego szła z Bagdadu duża karawana z kilkuset koni złożona, w któréj pomiędzy innymi podróżnymi jechali także: bogaty żyd i hodża. Przez całą drogę hodża szydził z żyda, dając mu najrozmaitsze przezwiska i strojąc nieprzyzwoite żarty z niego. Żyd niewierny, naturalnie nie śmiał ust nieczystych otworzyć, bo reszta podróżnych byli to sami muzułmanie. W ciągu téj podróży, zdarzyło się pewnego noclegu, że gdy karawana stanęła na nocleg w polu, przy zaroślach, w pewnéj okolicy słynnéj ze złodziejstwa, żyd długo w nocy zasnąć nie mógł. Gdy tak nie śpi, posłyszał za sobą jakiś szelest, i gdy lepiéj zaczął wpatrywać się w tę stronę, zkąd szmer pochodził, postrzegł człowieka czołgającego się na brzuchu, który podpełznąwszy do jego towarów, założył za jedną pakę hak, do którego przymocowana była lina. Żyd natychmiast zrozumiał o co chodzi; a zaledwo złodziéj odpełznął z liną ku swoim napowrót, odpiął hak od paki i założył go za pas smacznie śpiącego hadży. Ledwo skończył swoją sztukę niewierny pies „ana sana s,..." aż tu jak nie targną linę złodzieje i nie wezmą ciągnąć ku sobie, tak mój hodża pisnąć nawet czasu nie miał, gdy już znalazł się w ręku złodziejów. Miejsce, po którém ciągnięto hodżę, było pełne głazów i kolących krzaków, a ponieważ był on tak pulchny jak i ty, przeto nic dziwnego, że zjawił się przed złodziejami nietylko bez zawoju, ale nawet i całe szarawary po drodze zostawił.

Śmiechy powszechne, wykrzykniki i przekleństwa na żyda przerwały na chwilę mowę Hassana; a gdy nieco ucichło ten ciągnął daléj:

— Wałła! klnę się na brodę mego dziadka, że nie chciałbyś zapewne effendi, aby i tobie za twój dowcip nie przyszło powrócić do domu bez feza i bez szarawarów, jak to przydarzyło się tamtemu hodży.

Ta pantalonada zupełnie w guście wschodnim, wyrwała ostateczny homeryczny wybuch śmiechu i wykrzykniki zadowolenia, które krasomówny bajarz przyjmował obojętnie, niby zdawkową monetę. Wstyd! wstyd! powtarzano, a tymczasem śmiano się daléj. A gdy żadna konwersacya wschodnia bez sentencyi obejść się nie mo-

że, przeto tutaj musiała przyjść kolėj na to. Hassan pierwszy wystąpił z nią, by ukoronować swe dzieło.

— Oj! tak, effendi, wszak musisz znać przysłowie? Nieprzyjaciel twój, niech to mrówka nawet będzie, to go jeszcze zawsze miéj za słonia.

Ukłoty w swéj powadze duchownéj i chcąc zjednać sobie opinię słuchaczy, hodża odpowiada na to:

— Noc, jest to kobieta na rozwiązaniu, niewiedzieć co z ranną jutrzenką powije; a śmierć to jest czarny wielbląd, co przed każdemi drzwiami uklęka; młodość zaś poi się trzema truciznami: dowcipem, winem i kobietami. Tak, duszko Hassanie!

Hassan wie, że hodża pije do jego hulatyki stambulskiéj, przeto mu tego przebaczyć nie może i powiada:

— Mówiono ci: bij, ale nikt ci nie powiedział: zabij! Wiesz przecię, że dwaj „dżambasi" (linoskoki) na jednéj linie skakać nie mogą.

Jeszcze raz salwa śmiechu i zaklęć rozległa się po kawiarni, i zapieczętowała tę żywą scenę, jakby wyjętą z kronik Szecherazady. Hodża podług zwyczaju, musiał i tym razem odpokutować przed dowcipem ludowym oryentalnym, jak to dzieje się zwykle we wszystkich tutejszych dykteryjkach.

Taki Hassan, jako doweipniś, musi być znany w całéj okolicy, u wielkich i u małych. I niech mu zamarzy się zrobić wojaż, „kurbet," to ze swym językiem tylko w gębie, bez szeląga w kalecie, może zwiedzić najwygodniéj całe państwo Ottomańskie, od Bagdadu, po Mekkę, i aż do Dunaju. Nietylko że go nakarmią, napoją i nocleg mu dadzą, bo to zwyczaj muzułmański nakazuje, ale jeszcze oprócz tego niezawodnie powróci do domu lepiéj ubrany, obuty i arsenał swój wzbogaci kosztowniejszą i lepszą bronią. O pieniądze tacy ludzie nie stoją, bo przy tych patryarchalnych stosunkach, jakie w tureckiém społeczeństwie istnieją, młody nie ma na co ich tak bardzo wiele wydawać.

Temat, na który ciągnie daléj Hassan swe opowiadanie, są to rozmaite niekonieczne przyzwoite przygody, jakie go spotykały w wędrówkach po brudnych zakątkach rozpusty, na Galacie, w towarzystwie „tulumbadżich" (*). Lud turecki osiadły w sąsiedztwie stolicy, coraz to więcéj lgnie do rozpusty europejskiéj, i w skutek tego zatraca dawniejsze surowe obyczaje przodków. Nie można powiedzieć, aby to na złe dla wszystkich wychodziło—oto mamy najlepszy przykład dobroczynny tego na sobie. Gdy za dawniejszych dobrych starych czasów muzułmańskich, kiedy jeszcze te obyczaje panowały, przybyli Frency do wsi uzbrojeni, w biały dzień, to wątpię czy który z nich potrafiłby przynieść na powrót do domu swoją flintę, a i za głowę ręczyć nie można było. Życie giaura i dzisiaj w głębi Małéj Azyi w oczach muzułmanina mało co więcéj warte od życia zwierzęcia. Nie ma tedy tego złego coby na dobre nie wyszło.

Biesiada trwała niemal do północy; poczém wszyscy jakby na komendę zerwali się, papucze na nogi powkładali, rękę do czoła podnieśli na znak pożegnania i milczkiem szybko z kawiarni wynieśli się.

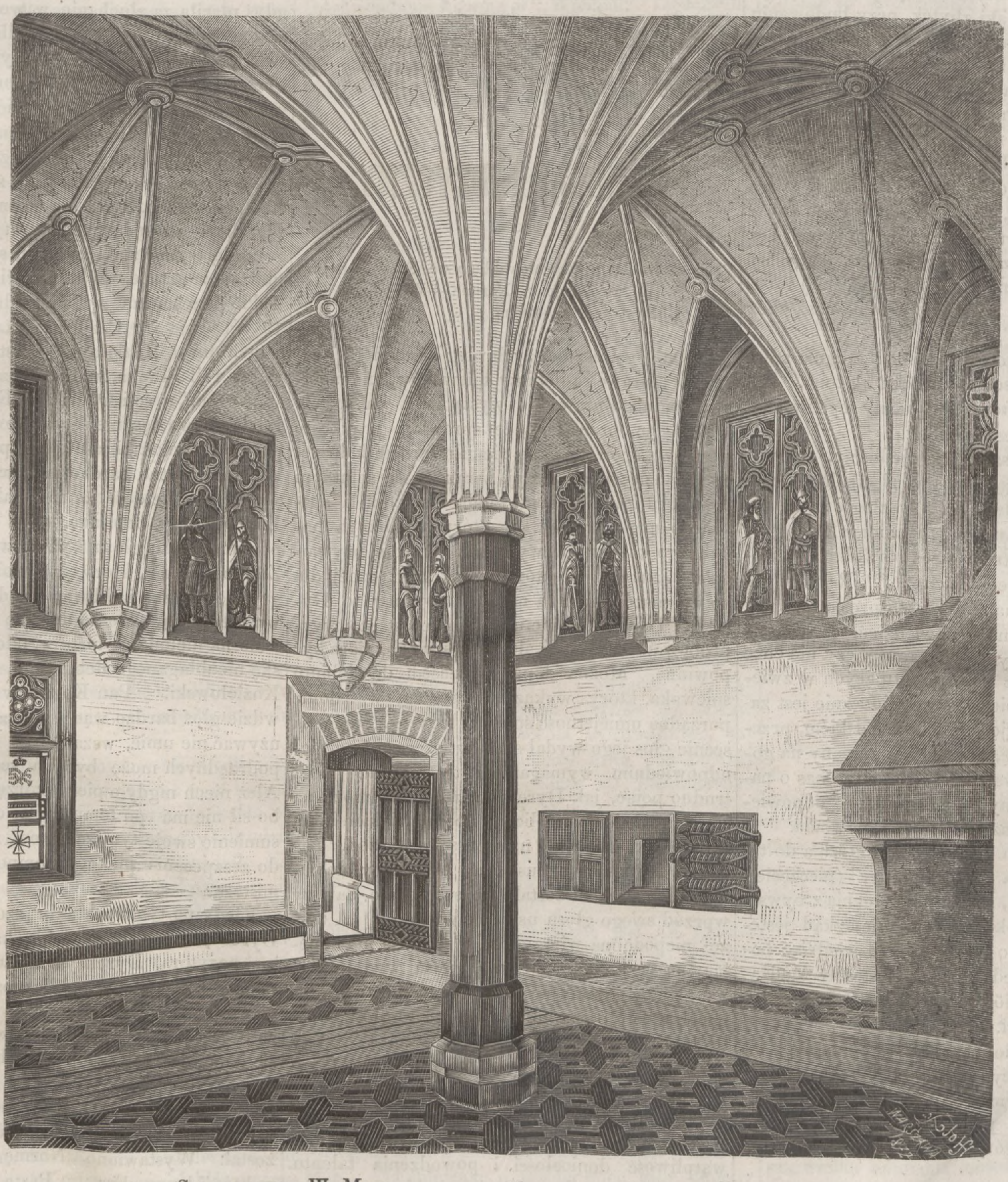
TRZY CHWILE ŻYCIA SZULERA.



3° Z NĘDZĄ MATERYALNĄ KOJARZY SIĘ NĘDZA MORALNA. Układ i rysunek Ks. Pillatego.

(*) *Tulumbadżi*, strażak ogniowy. Strażacy stambulscy są synonimem birbantów, „bon vivants" w klassie pospólstwa.

Długo w nocy potém nie mogłém zasnąć; jakieś dziwne fantastyczne wyścigi odbywały się w mojéj głowie. Cała świeżość Wschodu w jego prostocie naiwnéj uwydatniła się w takiém zgromadzeniu wieśniaków tureckich. Jest to żywa szkoła do poznania tego, co kojarzy lud turecki pomiędzy sobą: — gościnność, otwartość prostacza i pewien gatunek dowcipu pierwotnego, oto



Sala przyjęcia W. Mistrza w zamku Malborskim. (Patrz opis Nr. 79).

nici, co téj grubéj i barbarzyńskiéj społeczności rozprządz się nie dają. Wszystkie te przymioty mogłyby stać za wiele naszych dodatnich cywilizowanych, gdyby nie było odwrotnéj strony medalu—fanatyzmu religijnego; ztąd pochodzą wszystkie prześladowania i nienawiść do rajów, poddanych tureckich chrześcian, i w ogóle do wszystkich wyznawców krzyża.

Trzeba jednak przyznać, że gdy fantazya i moralność zechcą szukać jakiéj karmi w społeczeństwie oryentalném, to chyba ją znajdzie w żywiole ludowym tureckim. Na ten pierwiastek zlały się resztki oryginalnéj wielkości arabskiéj, która zmieszana z grubym żywiołem mongolsko-tatarskim, wytworzyła jakiś jaskrawy, grubo wzorzysty obraz, nie pozbawiony estetycznego wdzięku. Napróżne są tedy wszystkie wysiłki cywilizacyi europejskiéj, kuszącéj stworzyć Turcyę po za obrębem elementu ludowego; stworzy ona chyba jakąś karykaturę pedantyczną, któréj rezultatem będzie praca Danaid.

Noc jeszcze była na dworze, gdyśmy porzucili kawiarnię i zapuścili się w knieje tuż pode wsią rozpoczynające się. Gęsiego maszerujemy w milczeniu po piaszczystéj drodze, którą węglarze wyjeździli, i skręcamy w lewo, w głębsze knieje. A ledwośmy ostęp obeszli i rozstawili się na stanowiskach, już szarzeć poczęło i śpiczasta głowa Kirk Baszi z mroku nocnego wystąpiła nad nami; a za jaki kwadrans, nim psy spuszczono, już zorza płonąć poczęła, i tuż goniąc za nią pierwszy promień słoneczny drasnął wierzchołki zarośli, które ożywiła natychmiast gra naszych gończych.

Jest coś dziwnie pięknego w tém szybkiém przejściu od nocy do dnia. To raźne krzątanie się światła niebieskiego wlewa w żyły mieszkańca południa jakiś ogień młodzieńczy, który trawi go jakąś gorączką pieszczotliwą i przyzwyczaja do niekrępowanéj swobody. W tém zbra-

taniu się ze światłem gienialny organizm ludzki cuda potrafiłby tworzyć; trzeba tylko rozbić tę skorupę, co śniedzią moralną i ruiną materyalną pokryła te strefy.

Za całą zdobycz pierwszego dnia mamy parę sarn, które do południa upolowaliśmy. Zabrawszy zdobycz, ruszyliśmy na obranie sobie stałego legowiska, które przez cały czas polowania mogłoby nam służyć jako dogodny punkt do naszych wycieczek i do obozowania. Dzięki znajomości tych lasów, szybko wynaleźliśmy taki punkt; a gdy zaczęliśmy walić dębczak po dębczaku na zbudowanie baraku, to węglarz z sąsiedniego węglowiska wielkie oczy tylko otworzył na to widowisko. Taki zbytek przy budowaniu prowizorycznego szałasu, to już w głowie tureckiéj pomieścić się nie może; kopnął się tedy nasz Turas do wsi, aby donieść, że Frenki „konak" (*) budują w kniei.

W godzinę stanął nasz szałas, i ćwierć sarniny przy pękatym kociełku na improwizowanym rożnie obraca się przed ogniem. Dąb tuż u progu służy nam za altanę, bo na jego gałęziach zawisła zwierzyna i dwururki stoją rzędem jedne przy drugich. Raźno idzie tutaj wszystko, jakbyśmy byli przywykli od urodzenia do téj ciężkiéj i trudnéj roboty. To też miło popatrzeć na nasz obóz improwizowany.

Wkrótce obiad gotów; kociełek z ognia zdjęty i pieczeń na desce po turecku ułożono. Zabieramy się z apetytem do téj uczty myśliwskiéj, bo po pracy miły jest i posiłek.

Ale ledwo pierwsze łyżki zjedliśmy, jak psy warknęły i szarpiąc się na uwięzi, ujadać poczęły. „Sabahła hair olsun!" (**) rozległo się za naszemi plecyma, i stanął przed nami w całéj grozie i w całym majestacie stróż porządku publicznego, policyant turecki, „zaptie." Respekt dla władzy zawsze się należy, przeto prosimy zaptyi aby siadał i raczył nam powiedzieć, co właściwie go do nas przyprowadza, np. czy nie chce nam pokazać miejsc więcéj obfitujących w zwierzynę? Stróż bezpieczeństwa widocznie jest zafrasowany tém przyjęciem przyjacielskiém, przeto nieco wahając się, jak psotnik złapany na gorącym uczynku, wstydliwie zapytuje nas o paszporta. Homeryczny śmiech mu na to odpowiedział, a major, wskazując mu dąb, powiada:

— A masz je tam pod dębem. Patrz! a do tego każdy z nich ma dwa „miuhiury" (pieczęcie).

Turek zrozumiał, że ma do czynienia z bywalcami, przeto już pokornie zapytuje, zkąd jesteśmy? bo jemu jako miejscowemu wiedzieć potrzeba; a gdy dowiedział się, że jesteśmy Madżary (***) z Adam-Kiöj, to już był zupełnie zadowolony i powiedział:

— Madżary to dobrzy ludzie, znam się z nimi z wojska, „junacy," zuchy!... Tu chcąc dodać ekspressyi swéj wymowie i złożyć dowody wiedzy w lingwistyce, podniósł prawą rękę, złożył palce razem do góry i ważąc je w powietrzu, dodał:—bono!

Kiedy bono, tedy i my bono, i prosimy prawowiernego wyznawcę, aby raczył posilić się z nami. Najprzód w gardziel muzułmański przelał się tęgi kielich zakazanego romu, a następnie za nim poszły kawały sarniny, szpikowanéj słoniną. A gdyśmy go zapytali—jak mu smakuje nasza zwierzyna? Na to cmoknął tylko gębą, wielkie oczy zrobił, jakby chciał, by one na wierzch wyskoczyły, pokręcił głową i powiedział: bono! i w Luksemburgu (***) lepszéj nie podają.

Taki zaptya bywalec wiedział naprzód we wsi kto jesteśmy; a jeśli przybłąkał się do nas, to jedynie dla tego, aby módz przy nas coś zlasować. Wie on dobrze, że przy Frenkach lepiéj można pożywić się niż przy swoich, to też nos jego żandarmski wprost do nas zaprowadził w chwili obiadu. Następnie gdy powróci do wsi, będzie opowiadał o rozumie i „maryfetach" (cudach) frenckich, i jak z nami jadł i rozmawiał po frencku.

Gdy tak burza urzędowa szczęśliwie przeminęła po nad naszemi głowami, już byliśmy pewni, że więcéj żywy duch do nas nie zawita. Nikt nas tutaj nie zapyta, jakiém prawem polujemy i na co w cudzym lesie gospodarujemy jak w swoim? *(d. c. n.)*

(*) *Konak*, gmach.

(**) *Sabahła hair olsun*, dzień dobry.

(***) Turcy mówią *Madżar*, a nie Madziar.

(***) Hôtel du Luxembourg, na Perze w Stambule.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Debiut p. Koziełowskiego we Flisie.—Debiut p. Wierzejskiego w Normie.—Wieczór w Towarzystwie Muzyczném.

Jedną ze straszniejszych plag dręczących obecnie Warszawę są debiuty śpiewaków, nie mających żadnego prawa do wystąpienia na scenie. Debiuty te oprócz tego, że sprawiają przykrość chwilową, spowodowaną niemiłosierném kaleczeniem wdzięcznych partyj, zarazem są smutnym dowodem braku poszanowania dla sztuki i skażonego smaku w tych, od których sankcya podobnego kaleczenia wypływa. Pojmujemy potrzebę szukania talentów w tak krytycznéj dla opery naszéj chwili, a nawet chwalimy to Dyrekcyi Teatrow, iż nie utrudnia debiutantom wypróbowania swych sił, ależ na wszystko miara być powinna. Można dopuścić czasem do debiutu śpiewaka, który wykazał przedtém w salonie porządną umiejętność śpiewu, lecz następnie na scenie głos jego wydał się z byt szczupłym i nieodpowiednim wymaganiom teatralnym. Lecz trudno pojąć, jak Dyrekcya zezwalać może na tak dziecinnie skandaliczne debiuty, jakich kilka w tym roku mieliśmy nieszczęście słyszeć. Nie można bowiem przypuszczać, żeby tacy debiutanci dopuszczeni zostali na scenę, nie dawszy wprzód swego głosu usłyszeć w salonie. A także niepodobna wierzyć, żeby śpiewak nie umiejący na scenie ust otwierać, głosu wydobywać, nie mający gammy wyrobionéj ani pewnéj intonacyi, a co główna, niemający wcale głosu,—żeby taki śpiewak, mówimy, wszystkie te zalety w salonie posiadał. Kiedy więc przy próbie salonowéj, śpiewak całą swą nieudolność wykazał, to jakiém prawem potém pasport na scenę mu wydano? Debiut jest skalpelem rozcinającym wątpliwość doniosłości i powodzenia talentu. Lecz cóż on ma do rozcięcia w takim razie, kiedy wątpliwość ta nie istnieje? Niegdyś debiuty w teatrze naszym zbyt były utrudnione i debiutanci potrzebowali mnóztwa czczych formalności, zostać wspartymi silną protekcyą, nim tego zaszczytu dostąpili. Było to złe w innym rodzaju, gdyż nieraz głosy prawdziwie dobre skazane bywały na zmarnowanie się z powodu tylko niemożności przełamania zapór na drodze stojących. Ale wtedy teatr nasz mógł się drożyć z udzielaniem na debiut zezwolenia, gdyż dobre głosy i dzielnych śpiewaków posiadał. Obecnie postać rzeczy się zmieniła. Zaledwo para niezłych głosów w rozporządzeniu teatru się znajduje i pozostawszy przy nich opera nawet istniećby nie mogła. Nic więc dziwnego, że teraz teatr ochoczo śpiewakom podwoje do do debiutu otwiera, oczekując azali czegoś niezłego pomiędzy nimi nie wynajdzie.

Ależ z tego bynajmniéj nie wypływa, aby zezwalano na debiut, komu się tylko zamarzy. Jest to zarazem ubliżeniem sztuce i lekceważeniem publiczności, która teraz te same pieniądze zapłacić musi za wysłuchanie pana Koziełowskiego w roli Franka (we Flisie) i pana Wierzejskiego w roli Oroveza (w Normie), co niegdyś płaciła za słuchanie w tych samych rolach Dobrskiego, Troschla lub Millera. Żadne doświadczenia in anima vili nigdy za pieniądze publiczności wykonywać się nie mają prawa. Może się to odbyć prywatnie. Nie można brać za złe uczniowi niedoświadczonemu, że się rwie do wystąpienia na scenę. Jest to zuchwalstwo dające się wytłómaczyć palącą go żądzą urzeczywistnienia marzeń. Lecz nie można tego wybaczyć Dyrekcyi ani nauczycielom tych debiutantów, zezwalającym i zachęcającym swych uczniów do ubliżania sztuce, publiczności i samym sobie. Takie dwa smutne wypadki zdarzyły się w dniu 19 Września i 1 Października. W pierwszym z tych dni p. Koziełowski występował we „Flisie" w roli Franka, w drugim zaś p. Wierzejski w „Normie" w roli Oroveza. „Flis," ta drobna perełka tak wdzięcznie i świetnie w dyademie kompozycyi Moniuszki jaśniejąca, przy obecném wykonaniu smutne bardzo na słuchaczach wrażenie wywiera. Nie dość, że rolę Jakóba umyślnie dla Żółkowskiego napisaną, którą on tak znakomicie pomimo braku głosu wykonywał, oddano panu Ziołkowskiemu, który ją zrobił pod względem gry niesmaczną i ckliwą, a pod względem śpiewu nieznośną,—ale na dobitkę rolę Franka skazano na nieludzkie tortury, oddawszy ją na łaskę nieubłaganego debiutanta, którym jest pan Koziełowski. Pan Koziełowski posiada wprawdzie głos bardzo wątły i szczupły i jeszcze go używać nie umie, wszakże z czasem w rolach podrzędnych może być na scenie przydatnym. Ależ niech nigdy o pierwszorzędnych nie marzy, bo sił nie ma po temu. Po cóż więc obciąża sumienie swoje tym zarzutem, że się przyczynia do zeszpecenia pięknéj kompozycyi ulubionego mistrza?

Kiedy po tym spektaklu szemrać poczęto, że Dyrekcya zezwala na takie kaleczenie naszego kompozytora, Dyrekcya wpadła na szczęśliwy pomysł przekonania publiczności o bezstronności swojéj. Niech nie sądzą, pomyślała sobie—że to jest jakaś niechęć do Moniuszki. Dostało się jemu, dostanie się i Włochowi. Wszystkim kompozytorom równe w obec sceny prawa należą. I oto we dwanaście dni potém, dla zrównoważenia biedny Bellini na ten sam los skazany został. Wystawiono „Normę." Rolę tytułową w któréj laury zbierały: Pasta, Grisi i Malibran, oddano pani Miller-Czechowskiéj, która przypasowując ją do swego głosu, tak nielitościwie w szmaty pocięła, iż trudno było partyę tę rozpoznać. Dużo miejsc o cały ton niżéj transponowano, a z którém miejscem i tak poradzić nie mogła, to je ustępowała Adalgizie, pożyczając nawzajem od niéj miejsca dogodne dla swego głosu. Słowem była to ciuciu-babka akustyczna. Pani Miller-Czechowska jest bardzo dobrą we właściwych dla jéj głosu rolach, jak na przykład w Azucenie, lecz rola Normy tak jest dla niéj niestosowna, iż brakło tylko, żeby rolę Adalgizy poruczono panu Prohazce. Ależ nie

na tém koniec. Rolę Oroveza, ów tryumf niegdyś Lablache'a, ciśnięto na pastwę debiutującemu panu Wierzejskiemu. Co on z niéj zrobił, to niech mu już tego pan Bog nie pamięta. Czytaliśmy w któréjś gazecie zagranicznéj ogłoszenie jakiegoś lekarza, gwarantujące pacyentom, którym przywrócić zdrowia nie zdoła, lekkie i miłe konanie. Wydało się to nam wtedy oryginalną, lecz zbyt cyniczną reklamą. Aż oto w Nrze 216 Kuryera Warszawskiego, w sam dzień debiutu pana Wierzejskiego, znaleźliśmy odezwę pana G. Rożnieckiego (nauczyciela debiutanta), na wzór owego lekarza zbudowaną. Nie śmiemy jéj tu przedrukowywać w całości, gdyż szanujemy własność literacką, lecz radzimy czytelnikom ją poznać jako osobliwość w swoim rodzaju. Pan Rożniecki zapewnia czytelników, że jakkolwiek p. Wierzejski, mający za kilka godzin debiutować, bardzo krótko bo tylko kilkanaście kwadransów (sic) u niego się uczył, jednak.... wcale jeszcze śpiewać nie umie. Wszakże jeżeli z czasem śpiewać się wyuczy, to... będzie dobrze śpiewał. Przy całym swym dowcipie, odezwa p. Rożnieckiego wydała się nam jakby mówką na pogrzebie ulubionego ucznia przez czułego nauczyciela rzewnie wyszeptaną. Podczas słuchania śpiewu Oroveza serce się nam mimowolnie ściskało, widząc że pan Wierzejski przez własnego (wprawdzie kilkunastokwadransowego) nauczyciela na stracenie skazany został. Dyrekcya zaś teatralna uprzejmie sceny swéj pozwoliła na urządzenie placu egzekucyi. Po zapuszczeniu kurtyny, szepnęliśmy na intencya debiutanta *requiescat in pace*, gdyż już więcéj oczy śmiertelnika nigdy go ujrzeć nie powinny.

Wypadki na świecie toczą się wartką koleją. Dopiero co cholera opuszczać nas zaczyna a już następuje pora koncertowa. Czuwajcie nad swemi kieszeniami, bo niewiecie dnia ani godziny, kiedy i jaki koncertant uprzejmie do waszéj portmonetki zapuka. Niewielu wprawdzie posiadamy artystów do koncertów się kwalifikujących, lecz czyż koniecznie trzeba być artystą, żeby dać koncert?

Ach! cóż za szczęśliwa myśl w téj chwili przez głowę mi przeleciała! A żebym też to ja koncert na dochód swój urządził? Doprawdy warto pomyśleć o tém. Schwycenie chociażby kilkudziesięciu rubli wcale terazby mi nie zawadziło. Komorne już za dwa miesiące zalega i paletotu ciepłego na gwałt potrzebuję, bo ten już dyable się wyszarzał. A dochody małe, oj, bardzo małe! Już nawet z Redakcyi „Wieńca" coś wziąłem à conto, tak, iż nawet za to co teraz piszę, wątpię czy mi co przypadnie. Ale koncert jakoś to wszystko naprawi. Tylko jakby się to wziąć do tego? Ej, nie święci garnki lepią! Nie pierwszy to będzie koncert przez sprawozdawcę muzycznego urządzony. A zdaje się sam ten tytuł za dostateczną kwalifikacyę służyć może. Chociaż nie grywam na żadnym instrumencie, ale przecież za młodu na gitarze angielskiéj niezgorzéj się brzdąkało. A i więcéj artystycznych kwalifikacyj dostarczyć potrafię. Toż przecię cioteczno - rodzona siostra moja Klaryssa (świeć Panie nad jéj duszą) była w corps de balet tutejszym, a jeden szwagier mój jest kapitalnym organistą w Poznańskiém, drugi zaś suflerem na prowincyi. Ho, ho, ho! koncert jak w kieszeni! Artystów tutejszych chwała Bogu znam podostatkiem, to mi nie odmówią swego udziału, bo w przeciwnym razie będę mógł ich w „Wieńcu" schłostać. A gdyby ich zabrakło, to od czegoż amatorowie czyhający na sposobność wgramolenia się choć raz w życiu na estradę? Pani radczyni zapewno obu córec zkom śpiewać w koncercie pozwoli, a i pani sędzina swojéj też nie odmówi. I sam nawet wezmę udział w koncercie, bo będę siedział przy kassie,—toż przecię najrzeczywistszy udział. Na kilka dni przed koncertem gazety nie odmówią mi zamieszczenia kilku słów zachęcających publiczność, które mniéj więcéj w ten sposób się zakończą: „Program, jak nam mówiono, ma być wielce interesujący, i pozwala wnosić, że ten koncert będzie jednym z najświetniejszych, zwłaszcza jeżeli publiczność liczném zebraniem się oceni zasługi, jakie p. Fuza położył na polu literatury i sztuki." A po koncercie cóż za świetne sprawozdanie kropnę w „Wieńcu!" Obaczycie.

Ale zapuściłem się w marzenia, zapomniawszy że mam czytelników. Wracam więc do rzeczy.

Sezon koncertowy rozpoczął się wieczorami muzycznemi w Towarzystwie Muzyczném, które po kilkomiesięcznym odpoczynku rozwinęło swą działalność z energią niezbyt przerażającą Wieczory te środowe zwykle bywają niedbale urządzane i najczęściéj bardzo licho się odbywają. Jednak w dniu 20 Października staranności członka tém się trudniącego zawdzięczaliśmy wieczór bardzo dobrze urządzony. Z jednego tylko względu wieczór ten dość dziwnie wyglądał, że sami jedynie mężczyzni do wykonania programu należeli, z wyjątkiem deklamującéj pani Modrzejewskiéj. Nie może to za zarzut służyć, gdyż lepiéj że żadna kobieta nie należała, niż żeby należała taka, któraby tylko słuchaczom uszy kaleczyła. Z tego jednak powodu musimy zrobić jedną uwagę. Towarzystwo muzyczne wprawdzie bardzo oszczędnie, ale płaci mężczyznom na tych wieczorach występującym, a od kobiet darmo téj ofiary wymaga. Dla czegoby i kobietom równie nie płacić? Z tego powodu one tak niechętnie udział biorą, bo przecię takie wystąpienie coś je kosztuje, ze względu na garderobę. Jeżeli która dobrowolnie zrzecze się téj opłaty, to i owszem, lecz każdéj równie jak mężczyznie z prawa ona należy. Gdyby ten zwyczaj płacenia wprowadzono, tobyśmy na estradzie mniejszy brak płci pięknéj czuli. Na owym wieczorze 20 Października porządnie był odegrany „Sekstet" Dobrzyńskiego. Z wielką ciekawością oczekiwaliśmy wykonania „Lirnika wioskowego" Moniuszki. Utwór ten należy do owych świetnych poematów muzycznych, w których nikt jeszcze Moniuszce nie dorównał. Publiczności naszéj jest on prawie nieznanym, bo rzadko kto wykonać go potrafi. Śpiewający go na owym wieczorze p. Noskowski nie odpowiedział wcale oczekiwaniom. Cenimy wielostronną działalność muzyczną p. Noskowskiego według jéj rzeczywistéj wartości, ale też zarazem sądzimy, że ona to właśnie zawadza mu w doskonaleniu się. P. Noskowski produkuje się publicznie to jako skrzypek, to fortepianista, to znowu jako śpiewak. To już trochę za suto. Na śpiewaka potrzeba mieć głos choćby dla pozoru, a p. Noskowski nie posiada go wcale. Wprawdzie „Lirnik wioskowy" wymaga bardziéj deklamatora niż śpiewaka, ale i tego w wykonawcy nie znaleźliśmy. P. Noskowski wykonał tylko trzecią część „Lirnika," trzy zaś pozostałe opuścił. To także jest niewłaściwém, bo właśnie bez całości charakter „Lirnika" nie może być dostatecznie pojętym. Ale popręstawszy i na wykonaniu tylko trzeciéj części, potrzeba mieć na względzie tę rozmaitość kolorytów w niéj się zawierających. U p. Noskowskiego zaś cała ta rozmaitość powleczona była jakąś jedną barwą płową, która kompozycyi cały wdzięk odjęła. P. Noskowski śpiewał jeszcze „Dobra noc" nokturn kompozycyi p. Münchheimera z altówką i fortepianem. Jest to utwor z porządnie wytartych komunałow ułożony. Na zakończenie słyszeliśmy rzecz dość ciekawą, bo tercet z „Włoszki w Algerze" przez dwa głosy (p.p. Mikulski i Prohazka śpiewany. Dla złudzenia optycznego i p. Noskowski stał z nutami i niekiedy usta otwierał, lecz pomimo natężania słuchu, ani rażuśmy go dosłyszeć nie mogli. Duet z opery „I Masnadieri" wcale nudno na estradzie wygląda, chociaż dobrze był wykonany. P. Saenger, uczeń p. Górskiego, wcale nieźle zagrał na skrzypcach „Preludyum i fugę" Rusta. Zdolny to młodzieniec i dobrze uczony,—może z niego być kiedyś dobry skrzypek.

Słyszeliśmy osoby wyrzekające, że Towarzystwo Muzyczne rozmija się ze swym celem, wprowadzając na swe wieczory deklamacyę. Lecz wyrzekania te uważamy za niesprawiedliwe, gdyż deklamacya tak jest z muzyką ściśle związana, że Towarzystwo Muzyczne dobrze pojmując swe zadanie nie powinno jéj zaniedbywać, lecz w miarę możności popierać i uprawiać. Wprowadzenie więc tego nowego żywiołu na wieczory Towarzystwa za bardzo właściwe uważamy. Pani Modrzejewska prześlicznie wypowiedziała dwa krótkie ustępy Asnyka, z których „Wątpliwość" ogromne wrażenie na słuchaczów wywarła.

Fuza.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

CHOLERA INDYJSKA.

ze stanowiska geografii medycznéj i hygieny międzynarodowéj.

przez p. Fernadna Papillona.

(Revue des deux mondes).

Dalszy ciąg. (*Ob. Nr. 87*).

Badania pana Tholozana wykazały niezbicie, że niezależnie od czterech wielkich epidemij, cholera istnieje ciągle w Europie od 1830 roku, w różnych stopniach natężenia i pod rozmaitemi formami. W Europie równie jak w Indyach może być epidemiczną, endemiczną lub sporadyczną. Usiłowano wprawdzie wprowadzić rozróżnienie między cholerą zabijającą wielką liczbę osób w jednym czasie, i cholerą zabierającą tylko pojedyncze ofiary (*); w gruncie obie choroby nie przedstawiają różnic specyficznych. Pierwsza dokonawszy dzieła zniszczenia, słabnie znika pozornie,—ale tu i owdzie zdradza ciągle swoją obecność, w mniéj więcéj blizkich odstępach czasu.

II

Wzmiankowaliśmy już na początku że pierwsza wielka epidemia obserwowana w Indyach, przed ukazaniem się w Europie wybuchnęła w 1871 r; w téj to epoce cholera stała się wędrowną, ale w Azyi oddawna stale istniała. Świadectwa filologii i archeologii dowodzą stanowczo że zaraza ta znana była w głębokiéj starożytności. Mitologia indyjska opowiada że dwaj Aswinowie synowie Suryi (*słońca*) nauczyli medycyny Indrę, który napisał *Ayur-Vedę* najstarszą księgę medyczną w Indyi. Indra z kolei nauczył medycyny Dhowantrię którego

(*) Ta ostatnia otrzymała nazwę techniczną *cholera nostras* i przeciwstawiona jest epidemii zwanéj *cholerą azyatycką*.

uczniem był Susruta, współczesny Ramy, bohatera Ramayany. Susruta pozostawił dzieło dziś jeszcze istniejące, które przełożył i streścił doktor Wise, dyrektor służby lekarskiéj w Bengalu i w którém znajduje się wyraźny opis cholery. Trudno naznaczyć datę temu dziełu; pan Tholozan sądzi iż opierając się na słusznych dowodach może je odnieść do III-go wieku przed erą chrześciańską. Inne dzieła sanskryckie z téj saméj epoki, wspominają o podobnéj chorobie. Najważniejszym dokumentem jest napis odkryty w Vizzianuggur przez pana Sandersona na monolicie wchodzącym w skład ruin dawnéj świątyni. Napis ten przypisywany uczniowi Buddy i sięgający jak się zdaje, epoki przed podbojami Aleksandra, opiewa co następuje: „Wargi sine, twarz wychudła, oczy wpadnięte, brzuch sklębiony, członki pokurczone jak od ognia, cechują cholerę która przez złośliwe zaklęcie wychodzi od kapłanów na zagładę dzielnych. Oddech ciężki przylega do twarzy wojownika, palce jego pokurczone w różnych kierunkach; umiéra w konwulsyach, ofiarą gniewu Siwy."—Wiele dzieł indyjskich i perskich znacznie późniejszego pochodzenia zawiera podobne dokumenta. Kiedy Portugalczycy w 1498 r. a późniéj Hollendrzy i Anglicy zawitali na brzegi Indyi, mieli nieraz sposobność badania cholery epidemicznéj —nic więc dziwnego że opis téj choroby mógł być już dokonanym przez lekarzy europejskich w XVII wieku. Istnieją jeszcze roczniki szczegółowe epidemij które srożyły się w XVII wieku, i z których najrozgłośniejsza w Hurdwar. Słowem niema prawie takiego stulecia, w którémby nie można było odnaleźć ogniw długiego łańcucha chronologicznego cholery, rozpoczynającego się się od najstarszych ksiąg medycyny indyjskiéj.

Przyczyny które po wszystkie czasy sprzyjały szerzeniu się cholery w Indyach, działają tam jeszcze dzisiaj. Co rok prawie cholera ukazuje się w miejscowościach w których zgromadzają się pielgrzymi. Pomiędzy temi miejscowościami, są także miasta handlowe, z których trzy ściągają szczególniéj tłumy: Hurdwar na północy Indostanu, nad Gangesem; Juggurnath, na wybrzeżu Orissy, na północno zachód od zatoki bengalskiéj i Conjeveron na południe od Madrasu. Pielgrzymi przybywają tam, w porze gorącéj, po podróży stumilowéj prawie zawsze odbytéj pieszo, w stanie wyczerpania i nędzy o których trudno stworzyć sobie pojęcię. Przybywszy do tych miejsc świętych, pozostają tam, w skutek tłumnego nagromadzenia, złego odżywiania, nieczystości, rozpusty—w warunkach sprzyjających rozwinięciu się zarodów chorobowych: wkrótce też epidemia między niemi wybucha. Tłumy owe zarażone rozpraszają się następnie, przebiegając kraj we wszystkich kierunkach i siejąc wszędzie miazmata i zarazę.

Olbrzymie te zbiorowiska sprzyjają więc szerzeniu się cholery. Czy są również przyczynami wytwarzającemi epidemię—na to dokładnéj niepodobna dać odpowiedzi. Wszelkie możliwe hypotezy stawiane w celu zbadania pochodzenia cholery w Indyach, nie wyjaśniły téj trudnéj zagadki. Jaka jest przyczyna wywołująca genezę miazmatu? czy zbiorowiska pielgrzymów w złych warunkach hygienicznych? czy gnicie resztek roślinnych pod wpływem skwarnego słońca, lub też stan spoczynku wód Gangesowych pełnych nieczystości i trupów, albo nareszcie odrębna natura gruntu? Pytania te zostały dotychczasowo bez odpowiedzi; to tylko pewna że pielgrzymki dopomagają do szerzenia się cholery która poszukuje, że się tak wyrazimy, atmosfery zatrutéj. Życzyć by więc należało ażeby rząd angielski czuwał nad pielgrzymkami, i dał dowody żywszéj działalności przy robotach kanalizacyjnych przedsięwziętych w tym kraju w celach sanitarnych. Kiedy uczeni lekarze proponują walkę ze złem w jego źródle i zwołują krucyatę do Indyów, w któréj uczestniczyłyby wszystkie ludy cywilizowane w celu ucięcia głowy hydrze, jak kiedyś Herkules uciął głowę potworowi Lernenskiemu,— można tylko przyklasnąć szlachetnéj śmiałości projektu, zapytując jednocześnie, jakim sposobem zdołanoby go urzeczywistnić?

Persya położona między Indyą i Europą, nie jest ogniskiem cholery; ale jestto kraj w którym choroba znajduje grunt tak przygotowany, że panuje tam bardzo często. Niedawno jeszcze państwo Szacha przedstawiało pod tym względem smutny widok. Nieczystości nie były usunięte; trupy zwierząt: wielbłądów, wołów, koni, mułów pozostawione były na pastwę psów, szakali i ptaków po miastach lub w okolicach. Wierzenie religijne bardzo zakorzenione wskazywało jako obowiązek przenoszenie zmarłych daleko, dla pochowania w miejscach poświęconych. Ciała znajdujące się już w różnych stopniach rozkładu, zawijanę były po prostu w pilśń, bardzo rzadko zamykane w trumnach z desek cienkich i źle zbitych. W takim stanie przenoszono trupy na wielbłądach lub na mułach, bez względu na porę roku, na odległość trzydziestu lub czterdziestu dni drogi w przecięciu. Snuły się karawany trupów, jak wędrują teraz karawany pielgrzymów; zdarzało się że podróżni spotykali takie pochody w których naliczyć było można 100 do 200 umarłych. Nie potrzebujemy dodawać że takie kostnice wędrowne zatruwając atmosferę, sprzyjały przejawianiu się symptomatów epidemicznych. Konferencye międzynarodowa zaleciła rządowi perskiemu, ażeby wszelkiemi sposobami starał się przeszkodzić szerzeniu jadu cholerycznego. Nalegała na to, ażeby mogły być zniesione praktyki i zwyczaje, które tylko utrzymują stan chorobowy w kraju, domagała się urządzenia rad zdrowia czuwających nad wypełnieniem przepisów uznanych za niezbędne dla uchronienia saméj Persyi, a zatém i Europy od spustoszeń téj klęski.

Podobne życzenia kilkakrotnie wyrażone były w obecności Szacha perskiego, przez lekarza jego, p. Tholozana. W roku 1867 rozkazem tego panującego wzbroniono wszędzie przewożenia trupów; równocześnie przygotowywano inne reformy sanitarne. Zdanie konferencyi było więc dobrze przyjęte przez rząd w Teheranie; ale jeżeli rząd ten nie stawiał żadnego oporu, nie było mu też łatwém złamanie oporu mieszkańców. Nie przeprowadza się w ciągu jednego dnia, szczególniéj między ludnością Wschodu, zniesienia odwiecznych zwyczajów wiążacych się z przesądami religijnemi. Członkowie konferencyi nie zawsze uwzględniali trudności podobnego przedsięwzięcia, a p. Tholozan z wielkim rozsądkiem przypominał że należy w tym razie rządzić się wielką ostrożnością i umiarkowauiem. Bądź co bądź,—p. Proust, lekarz szpitali paryzkich, któremu powierzono w 1869 r. missyę do Rossyi i do Persyi w celu zbadania środków ostrożności przedsięwziętych przeciwko cholerze, mógł osobiście stwierdzić wyborne przepisy administracyi perskiéj. „Większa część środków, których przedsięwzięcie byłoby przez rząd francuzki zalecane, mówi p. Proust, została już zastósowaną przez rząd perski. Ustanowiono wyższą radę zdrowia, do któréj zaproszono znakomitszych lekarzy z Persyi. Zajmowali się oni najważniejszemi kwestyami z dziedziny hygieny publicznéj i prywatnéj." Dodać tu należy iż rząd perski na propozycyę pana Tholozana postanowił zarządzić przerwanie wszelkich kommunikacyj i wzbronić pielgrzymek w razie wybuchnięcia cholery w krajach ościennych. Słowem stan rzeczy pod względem hygieny wewnętrznéj Persyi jest o wiele lepszy, i polepsza się z każdym dniem. Jestto już wiele; ale następnie przedstawia się nowe pytanie: jakim sposobem przeszkodzić przejściu cholery z Azyi do Europy? Jestto jedna z najważniejszych trudności policyi sanitarnéj i hygieny międzynarodowéj. Zastanówmy się nad tém, co zrobiono dotychczas dla usunięcia téj trudności i o ile te rezultaty odpowiedziały oczekiwaniom. *(d. c. n.)*

ROZMAITOŚCI.

— Londyńskie Towarzystwo geologiczne ogłosiło w swym organie szczegółowy opis miejscowości, w których znaleziono dyamenty około Przylądka Dobréj Nadziei w Afryce południowéj. Według tego sprawozdania, miejscowości owe formują dwa odrębne nader obszerne okręgi: mianowicie okrąg rzeki Waal i rzek do niéj wpadających, tudzież okrąg rzeki Orange w Rzeczypospolitéj tegoż imienia. Dotąd poszukiwacze dyamentów znajdują je na całéj długości rzeki Waal aż do wpadnięcia do rzeki Orange, tudzież na 60-milowéj przestrzeni wzdłuż téj ostatniéj. Geologowie jednak wnosząc z charakteru gruntu, przypuszczają, że znajdowane do téj pory dyamanty przypłynęły z prądem wód z bardzo odległych okolic, że do właściwych pokładów dotychczas jeszcze nie dotarto, że te pokłady są niezawodnie bardzo bogate, a kształt znajdowanych odłamków dyamentów wskazuje, iż są odkruszone od brył niepospolitéj wielkości dorównywających bajecznemu Koh-i-Noorowi. Tymczasem jeden z postrzegaczy w témże czasopiśmie powiada, że w ciągu kilku miesięcy oglądał około 10,000 rozmaitéj wielkości dyamentów znalezionych w Afryce południowéj, niektóre zaś ważyły od 30 do 90 karatów. Dziś dyamenty mają tém większe znaczenie, że nietylko służą jak dawniéj do ozdoby, ale znalazły ważne zastósowanie w przemyśle, jako narzędzia do wiercenia skał przy budowie tunelów. Nie sama więc tylko próżność może się cieszyć z odkrycia nowych pokładów tych szacownych kamieni.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 19 (31) Октября 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.